

## **Koń jaki jest, każdy widzi**

Tak właśnie, krótko a precyzyjnie, starosłowiańska encyklopedia utwierdzała dawnych Polaków w oczywistym przekonaniu, czym jest koń wśród innych zwierząt. Na to aby dowiedzieć się, kim jest prezydent Bronisław Komorowski, musieli Polacy czekać aż 25 lat. W końcu w tych ostatnich tygodniach zaistniał z całą swoją tajemniczą przeszłością i bezradną terażniejszością, w której zmuszony jest walczyć o reelekcję, odsłaniając w kontaktach ze zwykłymi ludźmi niekończące się pokłady arogancji.

Książka Wojciecha Sumlińskiego „Tajemnicze związki Bronisława Komorowskiego” jest prezydentowi doskonale znana, tak jak znany jest mu Aneks do raportu z weryfikacji WSI, który Komorowski jeszcze jako marszałek sejmu przejął we władanie tuż po tragicznej śmierci prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Rzecz w tym, że zaprogramowane wiele lat temu milczenie Bronisława Komorowskiego obowiązuje go nadal, gdyż ma ono chronić prawdziwych twórców III RP, czyli agenturalną postkomunistyczną oligarchię, która do tzw. transformacji systemu przygotowała sobie „wiarygodnych” ludzi z tzw. konstruktywnej opozycji. A ponieważ nie wymyśliła sobie tego sama, tylko przyjęła sowiecki scenariusz kontrolowanej zmiany systemu w tzw. demoludach, odpowiedzi na hasło „Kim jest Komorowski” należy szukać w jego związkach z Moskwą za pośrednictwem szkolonych tam polskich towarzyszy.

W odróżnieniu od coraz większej grupy optymistów co do ostatecznego wyniku wyborów prezydenckich uważam, że Polska nie jest wciąż krajem gwarantującym uczciwość wyborów. Gdyby zmiany na polskiej scenie politycznej zależały jedynie od głosu na kartce wyborczej, już dawno pozbylibyśmy się antypolskich rządów.

Zwycięstwo Andrzeja Dudy w pierwszej turze wyborów przypomina zwycięstwo PiS jesienią ubiegłego roku w wyborach samorządowych, kiedy to ogłoszono nieznaczną przewagę tej partii nad innymi. Nastrój zwycięstwa udzielił się wszystkim, po czym zaczęły napływać informacje o licznych wyborczych fałszerstwach. Było ich łącznie, tych ujawnionych, ponad 1500, ale nikt nie zbadał, jaki rzeczywiście miały one wpływ na ostateczne wyniki wyborów. Nikt też nie zbadał genezy głosów nieważnych. Czy ogłoszenie zwycięstwa PiS, ale utrzymanie się obecnej władzy w najważniejszych sejmikach wojewódzkich nie miało na celu zminimalizowania protestów i uspokojenia opinii publicznej? Jak podważać uczciwość wyborów, aby nie podważyć własnego zwycięstwa? Taka sama pułapka może być zastosowana w obecnych wyborach prezydenckich. Zwycięstwo Andrzeja Dudy w pierwszej turze uwiarygodnia wybory złożone z dwóch części, z których druga jest najważniejsza jako ostateczna i niepodważalna – choćby uzyskana kilkoma głosami przewagi. Wielkie zadanie, jakiego podjął się Ruch Kontroli Wyborów ma głównie znaczenie psychologiczne. Po raz pierwszy po wojnie pojawił się w Polsce autentyczny ruch obywatelski, którego

celem jest patrzenie na ręce członkom komisji wyborczych. Rzecz w tym, że nie jest to jeszcze ruch powszechny. Gdyby rzeczywiście udało się członkom RKW uczestniczyć w pracach wszystkich obwodowych komisji wyborczych, podobnie gdyby wszystkie komisje miały swoich mężów zaufania z PiS, proces liczenia głosów byłby bardziej przejrzysty. Tymczasem pozbawione „obcych” obwodowe komisje wyborcze, a jest ich prawie 28 tysięcy, mają w swoich rękach ten sam od lat mechanizm polegający na dosypywaniu głosów w imieniu ludzi od wielu lat i z różnych powodów nieuczestniczących w wyborach. Tylko ta sama wypróbowana „stara” komisja wie, kto przebywa za granicą albo kto nigdy nie głosuje. Frekwencja w pierwszej turze wynosiła 48.96 procent, co się przekłada na 14.688.000 tysięcy wyborców umieszczonych na listach do głosowania, ale nieobecnych przy urnach. Co gorsze, żaden z nich nie ma możliwości sprawdzenia post factum, prawo tego nie przewiduje, czy rubryka z jego nazwiskiem jest pusta, czy znajduje się przy niej jakiś „zawijas” postawiony przez ludzi z komisji wyborczej. To dlatego chodzę na wybory i podpisuję się w swojej rubryce własnym długopisem, choć za każdym razem podsuwa mi się „dyżurny” służbowy pisak. Historia wyborów w Polsce, poczynając od słynnego referendum z 1946 roku, przeprowadzonego pod hasłem „trzy razy tak”, dowodzi, że fałszowanie wyborów jest możliwe tylko wtedy, gdy ma się armię ludzi gotowych dokonać tego fałszerstwa. To osoby reprezentujące władzę wszystkich szczebli oraz osoby

zastraszone możliwością zmiany władzy, wskutek czego, jak sądzą, tracą swoje przywileje, a dziś głównym takim „przywilejem” jest posiadanie stałej pracy. Przychodzi jednak taki czas, w którym stawianie na tego samego konia przestaje już być koniecznością. Gdy koń, co już każdy widzi, przybiera obraz nieporadnej szkapy, z którą niczego więcej nie da się pociągnąć. Wówczas następują zmiany. I oby tak było.

**Wojciech Reszczyński**

451Nasza Polska 19.05.15